

# Z wizytą



FOT. ARTUR ZMARZŁAK

## w Algonquin Park

Artur Zmarzłak

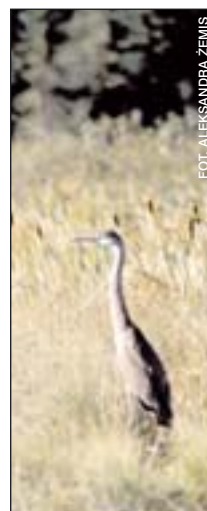


Kanadyjski Algonquin Park – około 2000 km szlaków wodnych na obszarze 7,725 km<sup>2</sup> (dla przykładu Kampinoski Park Narodowy zajmuje powierzchnię 385 km<sup>2</sup>). Jeziora, rzeki, lasy, skały i dzika przyroda. Życie nie umierać, po prostu raj na ziemi. Do tego bardzo dobrze zorganizowany.

### Bileciki proszę...

Do parku należy wykupić bilety wstępu. Obowiązują one na każdy dzień pobytu. Jeśli planujemy wyprawę w głąb parku (z noclegiem), dodatkowo trzeba sobie zarezerwować miejsce do spania. Dokonując rezerwacji należy podać przebieg trasy oraz liczbę płynących osób – w parku obowiązuje limit gości przebywających jednocześnie w jednym miejscu. Po podaniu trasy i planowanych miejsc nocle-

gów (w praktyce jest to nazwa jeziora) komputer sprawdzi, czy są wolne miejsca na dany dzień i czy nie przekroczona została liczba osób. Dopuszczalny limit to 9 osób na jednym obozowisku – w praktyce nie zdarza się jednak, żeby biuro rezerwacji łączyło różne grupy na jednym biwaku. Nawet jeśli płynie jedna osoba, biwak traktuje się jako zajęty. System ten może nas dziwić, a czasami wręcz uniemożliwić pobyt (jeśli odpowiednio wcześniej nie zrobimy rezerwacji może się okazać, że nie ma dla nas miejsc), lecz jest skuteczny. Gwarantuje, że każdy kto chce, znajdzie w parku to, po co tam przyjechał: ciszę, spokój i dziką przyrodę, która nie jest nadmiernie obciążona gośćmi. Kwestia bezpieczeństwa jest chyba wtórna, lecz też waż-



FOT. ALEXANDRA ZEMIS

na, bowiem do wnętrza parku można dotrzeć tylko drogą powietrzną lub łódką – jeśli zdarzy nam się wypadek strażnicy będą wiedzieć gdzie nas szukać. Biorąc pod uwagę rozległość parku jest to całkiem rozsądne.

Kolejne ograniczenia to zakaz zabierania żywności w opakowaniach szklanych i metalowych. I jak tu jechać na 10-dniowy spływ bez konserw? (podpowiedź: suszone mięso i kabanosy, można też urządzić spływ wegetariański). Choć zakaz jest dla nas dziwaczny, to jednak wystarczy przypomnieć sobie nasze własne rzeki i od razu staje się zrozumiałe. Ochrona przyrody ma w Kanadzie znacznie wyższy priorytet niż u nas, a i świadomość społeczeństwa też jakby większa. Modny (i konieczny) robi się styl „leave no trace, take pictures only”, co można przetłumaczyć jako „nie zostawiaj po

sobie śladów, zabierz ze sobą tylko zdjęcia”. Większość ludzi przestrzega tego i stara się zostawić obozowisko bez śladów ludzkiej bytności.

Nasze planowanie odbywa się trochę w ciemno – nie znamy parku, nie wiemy ile czasu zajmą nam przenoski, nie pływaliśmy wcześniej na kanadyjce. Dobieramy trasę pozwalającą na robienie bocznych wycieczek i dzwoniemy do rezerwacji. Okazuje się, że musimy zmienić miejsce pierwszego noclegu – na jeziorze Tom Thomson wszystkie obozowiska są zajęte. Nie jest to dobra wiadomość, bo pierwszy wolny biwak znajduje się na następnym jeziorze. Niestety nie jest ono połączone z Tom Thomson Lake – wygląda na to, że po całym dniu wiosłowania będziemy mieli przenoskę. Zapowiada się długi dzień...

Wyruszamy z Toronto. Do Algonquin jedzie się 3-4 godziny. Biorąc pod uwagę, że nasz „bus” wyrusza dopiero o 9., nie zostawia nam to dużo czasu na wiosłowanie.

Zaczynamy naszą wódcę na Canoe Lake. Po przyjeździe szybko dopełniamy formalności – tu dobra wiadomość: zwolnił się biwak na Tom Thomson Lake i nie musimy przenieść się pierwszego dnia. Odbieramy zarezerwowaną łódkę.

Pierwsze wrażenie – jaka mała jest ta kanadyjka! Moje wcześniejsze doświadczenia z kanadyjkami obejmowały tylko spływ szkoleniowy na Drawie (tzw. Drawa szkoleniowa). Tamta kanadyjka to był prawdziwy statek w porównaniu z modelem Prospector 16, któ-

rą wypożyczyliśmy w Algonquin. Pocięszam się myślą, że Prospector to chyba najsłynniejszy model kanadyjki, bardzo udany i wszechstronny. Po załadowaniu bagaży w łódce nie zostało zbyt dużo wolnego miejsca. Akurat w sam raz na załogę.

Wypluwamy. Na wodzie widać sporo łódek, a na brzegach dużo domków wypoczynkowych. Nic dziwnego, jesteśmy w tzw. „cottage country” – jezioro przylega do drogi i pływa tu każdy, kto potrafi dojechać samochodem. Wkrótce domki znikną zupełnie, a ilość łódek zmniejszy się po pierwszej przenosce. Jej krótki dystans pokonujemy z marszu – niewątpliwą zaletą kanadyjki jest poprzeczne nosidło zamocowane na stałe pomiędzy burtami. Dzięki niemu łódkę może wygodnie przenieść jedna osoba, a przy okazji wzmacnia ono konstrukcję. Płyniemy dalej podziwiając nowy dla nas krajobraz. Wysoki, skalisty cypel góruje nad wąskim przesmykiem pomiędzy dwoma jeziorami. Zerkamy na mapę – miejsce nosi nazwę Gibraltar Rock.

### Pierwsze spotkanie

Za kolejnym zakrętem Ola podnosi alarm fotograficzny. Patrę i oczom nie wierzę – na brzegu siedzi mały niedźwiadek i coś zajada. Cóż za okazja! Odkładam wiosło, łapię

aparat, ale zaraz nachodzi mnie refleksja – „skoro jest maluch to i mama niedźwiedzica musi być w pobliżu”. Ponieważ jesteśmy już bardzo blisko brzegu odkładam aparat, łapię wiosło i jestem gotowy do szybkiego odpłynięcia. Miś nie wygląda na specjalnie przestraszonego, kiedy podpływamy bliżej po prostu wstaje i... okazuje się, że ma całkiem spory, puszysty ogon! Zupełna konsternacja! Co to jest? Przecież to nie niedźwiedź! Zagadka pozostaje nierozwiązana do końca spływu – dopiero po powrocie, po wywołaniu zdjęć i zasięgnięciu porady ekspertów wyjaśni się, że jest to... rosomak! Przyznam szczerze, że nasza wiedza o tym fascynującym zwierzęciu zaczynała się i kończyła na nazwie. Mieliśmy dużo szczęścia – są to bardzo rzadkie zwierzęta i niezwykle trudno zobaczyć na wolności ten symbol prawdziwie dzikiej przyrody.



FOT. ALEKSANDRA ŻEMIS



FOT. ALEKSANDRA ŻEMIS

## Misie lubią dobrze zjeść

Pierwszy biwak wita nas krótkim deszczem i tęczą. Niestety, nie mam dużo czasu na jej podziwianie; misie lubią dobrze zjeść i należy pomyśleć o zabezpieczeniu jedzenia. Niedźwiedź to jest dla nas zwierzę równie egzotyczne co żyrafa, ale ma kły i pazury (i duży apetyt), więc lepiej przestrzegać lokalnych obyczajów.

Zalecany sposób zabezpieczenia prowiantu to zawieszenie go na wysokości minimum 3 metrów nad ziemią oraz w odległości co najmniej 1,5 metra od najbliższego pnia. Znajduję odpowiednie drzewo, nie za ciężki kamień i po paru niecelnych rzutach udaje mi się w końcu umieścić linkę na gałęzi w bezpiecznej odległości 2 metrów od pnia. Zadowolony z siebie próbuję wciągnąć nasze zapasy na odpowiednią wysokość. Gdzie tam, 10 kg jedzenia i tarcie linki o gałąź skutecznie krzyżują moje plany. Gorączkowo rozważam inne opcje i w końcu udaje mi się zmajstrować coś w rodzaju wielokrążka z dwóch karabinków. Całe szczęście, że wystarczyło linki!

Biwaki w Parku są zagospodarowane i oznaczone pomarańczową plaketką widoczną z wody. Bardzo pomaga to w orientacji, kompas jest właściwie niepotrzebny – nawigację można prowadzić „na biwaki”.

Mają one wyznaczone miejsca na ognisko, obłożone kamieniami, często z metalową kratką spełniającą rolę rusztu. Wygodne zejście do wody, miejsce pod namiot – czy trzeba czegoś więcej? No tak, są jeszcze wygodki – zwykłe drewniane skrzynie z kłapą. Jako ciekawostka i przykład dbałości o szczegóły niech służy informacja, że kłapa umieszczona jest zawsze od strony obozowiska. Udając się za potrzebą możemy więc mieć pewność, iż tyły mamy „zabezpieczone”, na pozostałych kierunkach możemy podziwiać piękne okoliczności przyrody. Żeby tak jeszcze nie było komarów!

Jak widać standard jest wysoki i doprawdy nie rozumiem dlaczego przy takim wyposażeniu nie ma „firmowych” wieszaków na worki z prowiantem?

## Rozgrzewka

Zaraz na początku drugiego dnia musimy przenieść nasz dobytek na niebagatelną odległość 2300 m. Pływanie w Algonquin wymaga mocnych nóg – jest tu co prawda bardzo dużo jezior, jednak w większości nie są one połączone i trzeba przenosić łódkę lądem. Lato, słońce praży, a tu trzeba założyć plecak, na to wszystko łódkę na ramiona i maszerować do następnego jeziora. Ścieżka co prawda wydeptana, ale jednak sporo trudniejsza od mazurskiej dróżki. Wiedzie w górę i w dół, w górę i w dół. Po paru minutach jestem kompletnie mokry. Dobrze

choć, że kanadyjka jest idealnie wyważona i nie muszę jej podtrzymywać rękoma. Podczas takiej przenoski najlepiej o niczym nie myśleć – po prostu trzeba iść, iść aż do końca. Uff... na końcu dochodzi się do zbawczej wody i można rozkoszować się kąpielą.

Wspaniałe humory psuje tylko widmo przyszłej przenoski na „maratońskim” dystansie 3750 m. To dopiero za parę dni, nabierzemy

jednodolarowej, która od nazwy kaczki nazywa się „loonie”. Jest to bardzo ładna i uta-



FOT. ALEKSANDRA ŻEMIS



FOT. ARTUR ZMARZŁAK

według planu, żeby nie nosić zbędnych kilogramów.

Trasa wiedzie w większości przez jeziora – jedyna większa rzeczka, po jakiej płyniemy, to Petawawa River – trochę dalej na wschód jest to górská rzeka, tutaj płynie wolno, spokojnie meandrując, a widoki są jak z bajki. Gdyby tylko nie kolejnych 5 przenosek. To się nazywa aktywny wypoczynek! Przenoski co prawda są krótkie, ale prawie cały dzień rozładujemy, nosimy i ładujemy łódkę, w przerwach trochę pływając.

Na którejś przenosce, w trakcie drugiego śniadania, przysiadła się do nas... koliber. Wiemy, że żyją na południu Kanady, ale widzimy go po raz pierwszy. Za nic mając rozkosze podniebienia Ola porzuca kanapki i robi parę zdjęć.

Park obfituje w różnorodność ptasich gatunków, jednak najsłynniejsza jest kaczka zwyczajna (ang. Common Loon). Jej podobnie wybita jest na monecie

lentowana kaczka – w pogoni za pożywieniem potrafi nurkować na głębokość aż 80 m!

## Łosiowe szczęście

Ptaszki ptaszkami, ale przecież jesteśmy w Kanadzie, a być w Kanadzie i nie widzieć łosia – to tak jak być w Polsce i nie widzieć bociana. Trzy dni minęły, a my widzieliśmy tylko połowę łosia. Jak można zobaczyć połowę łosia? Było to tak: płyniemy Petawawa River zmęczeni przenoskami, aż tu nagle Ola macha



FOT. ALEKSANDRA ŻEMIS

FOT. ALEKSANDRA ZEMIS



ręką. Znam już dobrze ten gest – alarm fotograficzny! Spoglądam we wskazanym kierunku i widzę drzewo. Zaraz, zaraz, to nie drzewo, to... łoś! Ale ogromny! Nie widać go zbyt dobrze, tylko łeb i część rosochy. Choć wiemy, że nie będą to dobre ujęcia, to mimo wszystko pstrykamy parę zdjęć.



FOT. ALEKSANDRA ZEMIS

W ten właśnie sposób zobaczyliśmy pierwsze pół losia. Z pewnym niedosytem, ale i nadzieją płyniemy dalej. Nagle, przepływając przez krótki przesmyk łączący dwa jeziora, słyszymy chrząkanie. Właściwie to nie chrząkanie, to coś w rodzaju chrupania. Dźwięk jest dość dziwny i nie wiemy czego się spodziewać, ale wszystko wyjaśnia się za zakrętem.

W wodzie stoją dwa losie – kłępa i loszak – delektując się przekąską z dna rzeki. Zamieramy w zdumieniu. Łosie co chwila zanurzają łby w wodzie i wyciągają smaczne pędy po-

parskując z cicha. To właśnie ten odgłos uprzedził nas o ich obecności. Cichutko podpływamy, parkujemy łódkę w trzcinach i w ekspresowym tempie zaczynamy zużywać filmy fotograficzne. Do parskania łosi dołącza dźwięk silników w aparatach, ale zwierzętom to zbytnio nie przeszkadza. Decydujemy się podплыć bliżej – losie wciąż robią wrażenie, jakby nas nie widziały – stoją w wodzie i jedzą.

W końcu podpływamy za blisko i zwierzęta nie mieszczą się w kadrze. Wciąż zafascynowani odkładamy aparaty i po prostu podziwiamy „króla bagien”. Po pół godzinie widowisko robi się jednak nudne, więc płyniemy dalej.

### Poranny rabuś

Widmo niedźwiedzia dobierającego się do naszej żywności motywuje mnie do perfekcyjnego zawieszania worka z prowiantem. Przy niesprzyjającym układzie gałęzi czynność ta potrafi zabrać dużo czasu. Rekord to 50 minut, ale był to chyba najlepiej zabezpieczony worek w całym parku. Mogliśmy spać spokojnie. Jednego wczesnego poranka budzi mnie jednak dziwny odgłos. Wydaje mi się, że słyszałem jak coś spadło, ale nie jestem pewien – wicie jak to jest, kiedy człowiek jest wyrwany ze snu. „E tam, na pewno się przesłyszałem”

– myślę sobie i przewracam się na drugi bok... „Coś spadło? Co z jedzeniem?” – błyskawicznie wyskakuję ze śpiwora, sprawdzam najbliższą okolicę i co widzę? Sprytna wiewiórka ściągnęła na ziemię torbę ze śmieciami (którą też trzeba wieźć) i delektuje się opakowaniem po gorącym kubku Knorra. Zabieram jej szybko tę zdobycz, przecież tego się nie je na surowo. W odpowiedzi wysłuchuję całego koncertu wrzasków. Wiewiórka wzięła na drzewo i z wysokości daje upust swemu oburzeniu. Nie dyskutuję – ulżyło mi, że to jednak nie niedźwiedź.

Skoro już wstałem, to równie dobrze możemy zacząć dzień. Tej nocy biwakowaliśmy na wyspie, nieopodal obiecującej zatoki na przeciwległym brzegu jeziora. Może ponownie zobaczymy tam losie? Wypływamy na poranne foto-safari. Płyniemy we mgle, wrażenie niesamowite. Staramy się wiosłować bezszelestnie, aby nie psuć nastroju poranka. Wokół nas prawie nic nie widać. Był to chyba jedyny raz, kiedy kompas naprawdę się przydał. Uff, trafiliśmy. Zostawiamy łódkę na brzegu i przedzieramy się przez zaroszone trawy. Opada mgła. Sieci pajęczce ozdobione kroplami rosy pięknie błyszczą w słońcu. Przed nami rozległe bagienne tereny. Niestety, losi ani śladu. W drodze powrotnej spotykamy za to wydry. Patrzą na nas z daleka,

baraszkują w wodzie i oglądają nas z ciekawością. Nie pozwalają jednak podплыnąć zbyt blisko. Tym razem nic nie będzie ze zdjęć – za daleko jak na możliwości naszych obiektywów.

## Spacerkiem po parku

Okazuje się, że pływanie kanadyjką nie jest dużo trudniejsze od pływania kajakiem. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że pływamy głównie do przodu, wymaga to jedynie opanowania pociągnięcia „J”. Z lenistwa nie próbujemy żadnych skomplikowanych technik, w razie potrzeby improwizujemy. Przez kolejne dni podążamy wytyczoną trasą, przepływając rozliczne jeziora i robiąc wycieczki po mijanych zatoczkach. Pogoda i humory dopisują – ot, spływowa sielanka. Do czasu.

Dopływamy do najtrudniejszego miejsca naszego spływu. Przed nami kolejna przenośka. Bagatela – 3750 m. Świetna na wspomnienia, mniej zabawna na żywo, gdy cały dobytek trzeba załadować na plecy i maszerować, maszerować. Dobrze, że już zjedliśmy połowę prowiantu i plecaki są ciut lżejsze. Po drodze zastanawiam się, ile z tych 2000 km szlaków wodnych w Algonquin wiedzie lądem?

Dopływamy już do Opeongo Lake – to największe jezioro na naszej trasie. I ostatnie. Drugie śniadanie jemy na małej, skalistej Wyspie Niedźwiedziej. W międzyczasie wiatr przybiera na sile, jezioro zaczyna falować. Choć kanadyjka dobrze siedzi na fali, to jednak ciężko wiosłować. Zastanawiam się, co robić jeśli się wywrócimy? Jestem przyzwyczajony do kajaka i brak pokładu w kanadyjce nie działa na mnie najlepiej. Postanawiamy przeczekać – chyba słusznie, bo nikogo nie widać na wodzie. Kierujemy się do najbliższego obozowiska. Niestety jest zajęte, ale starsi państwo nie mają nic przeciwko temu żebyśmy zatruli im trochę prywatności – wodniak wodniakowi nie odmówi. Okazuje się, że to Amerykanie i chociaż dużo pływają w USA, to jednak lubią wracać do Algonquin. Rozmawiamy, gotujemy obiad i czekamy, aż wiatr trochę przycichnie. Przy okazji zaglądamy nam w garnki – podobno zawsze byli ciekawi, co jedzą inni ludzie i teraz mają okazję podejrzeć. Nie wiem czy im się spodobało, bo spróbować nie chcieli – ich strata.



FOT. ALEKSANDRA ZEMIS

Po obiedzie wiatr trochę cichnie i wyruszamy szukać ostatniego biwaku. Znowu mam kłopoty z zawieszeniem worka. Choć jest już prawie pusty, to jednak zebrano trochę śmieci, które wydzielają zapach. Nie ma żadnych „ale” – wszystko musi powędrować do góry, łącznie z pastą do zębów. Zwierzęta mają znacznie lepszy zmysł powonienia niż ludzie i to, co dla nas jest bezwonne, może je przyciągnąć z dużej odległości.

To już ostatni dzień. Pakujemy bagaże na wyjazd i płyniemy oddać łódkę. Potem pędzimy pod prysznice – jest oczywiście ciepła woda i to za darmo – miła niespodzianka na za-

kończeniu wyprawy. Są też lustra – no tak, wyglądamy trochę inaczej...

Wędrówka trwała 10 dni, w tym czasie przepłynęliśmy 120 km. Łódkę i dobytek przemieśliśmy na łączną odległość 15 km.

Żegnamy się z parkiem obiecując sobie, że kiedyś tam jeszcze wrócimy. Może na dłuższą wyprawę? Pomimo obowiązkowej rejestracji, biletów wstępu i paru zakazów wodna włość i dzika przyroda pozostawiły w nas niezapomniane wrażenia. Żeby tylko ta Kanada pachnąca żywicą była bardziej dostępna dla polskich wodniaków. A pojechać – zdecydowanie warto!

WIOSŁO



FOT. ARTUR ZIMARZAK

**Algonquin Park** – najstarszy park w Kanadzie, założony w 1893 roku. Położony 300 km na płn. -wsch. od Toronto, doskonale miejsce na wodne wycieczki. Do Algonquin Park najlepiej można się dostać własnym środkiem transportu. Najprawdopodobniej nie kursuje tam obecnie żaden transport publiczny, choć zapewne istnieją firmy organizujące tam wy-

cieczki. Podczas naszej wizyty skorzystaliśmy z usług firmy transportowej, która niestety już nie istnieje.

### Garść praktycznych informacji:

- przebywając w parku należy wykupić bilety na wybrany termin i trasę (ceny podano w dolarach kanadyjskich):
- bilet jednodniowy: 12 \$ od samochodu

- bilet na pobyt z noclegiem (na jeden dzień): 8 \$ od osoby (parking wliczony)
- wypożyczenie kanadyjki: 20-30 \$ za dzień w zależności od modelu
- w parku obowiązuje szereg reguł i zakazów, z którymi należy się wcześniej zapoznać, aby nie było niespodzianek (np. zakaz wwożenia opakowań szklanych i metalowych)

- w głębi parku nie ma żadnej infrastruktury turystycznej co oznacza, że wszystkie niezbędne rzeczy oraz żywność należy zabrać ze sobą
- wodę z jezior należy gotować minimum 5 minut lub filtrować (głównie z uwagi na bakterie *Lambliia Intestinalis*)
- oficjalna strona internetowa to <http://www.algonquinpark.on.ca>